

KATARZYNA  
JACKOWSKA-ENEMUO



ilustracje:  
ALEKSANDRA  
ARTYMOWSKA

**KATARZYNA  
JACKOWSKA-ENEMUO**



**ilustracje:  
ALEKSANDRA  
ARTYMOWSKA**



Muzeum Historii Żydów Polskich  
POLIN



– Kryśkaaa! Chodź szybko! Zobacz jaki wielki żuk! No chooodź! – darł się Staszek na całe podwórko. – O rany, jak taka jesteś, to siedź tam sobie! – obraził się i ostentacyjnie kopnął trzepak.

Bo Krysia siedziała na gałęzi rosochatej gruszy, która rosła na środku podwórza otoczonego ze wszystkich stron ścianami kamienic i wcale nie miała ochoty przychodzić ani oglądać jakiegoś głupiego żuka. Bezmyślnie skręcała w palcach kosmyk włosów i gapiała się na liście. Była zła i z nikim, ale to z nikim nie chciała rozmawiać.

Krysia mieszkała w starej kamienicy w samym środku miasta, z babcią, rodzicami i psem, który wabił się Spacer. W mieszkaniu naprzeciwko mieszkała prababcia Krysi. Prababcia była bardzo, bardzo stara, ale, jak mówiła, nie dość stara jeszcze, żeby nie móc samodzielnie wejść na trzecie piętro domu, w którym się urodziła. Piekła najlepszy na świecie sernik i szarlotkę, zaś w grudniu robiła pyszne placki ziemniaczane, które nazywała „latkes”, a w karnawale – hamantasze, małe ciasteczka z konfiturą w środku. Kiedy Krysia pytała ją, skąd te dziwne nazwy, prababcia mówiła, że to żydowskie potrawy. A kiedy dziewczynka dziwiła się, że jak to, skąd, przecież prababcia nie jest Żydówką – ta odpowiadała krótko:

– Bo tak. Bo są dobre. I koniec. Podaj mi cukier puder i nie zadawaj tylu pytań, bo dostaniesz czkawki.

Staszek mieszkał ze swoim tatą na pierwszym piętrze. Wprowadził się niedawno i ponieważ był Krysi rówieśnikiem, spędzali razem sporo czasu. Staszek był fajny, chociaż strasznie łatwo wpadał w złość, a kiedy się złościł, to rzucał kamieniami w mur albo kopał trzepak albo się obrażał. W takich chwilach nie dało się nawet podejść do niego i Krysia uważała, że to strasznie głupie.

Kamienica była stara, lecz tylko do połowy. Pół budynku było nowe, miało metalowe drzwi i plastikowe okna. A część, w której mieszkała Krysia, miała popękane tynki, dziury w ścianach, balustrady balkonów z fantazyjnie kutych, żelaznych prętów i skrzypiące drewniane

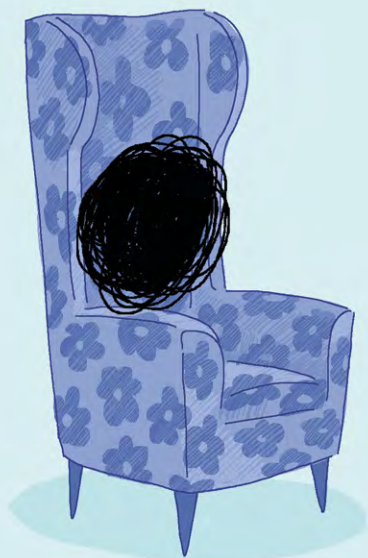


schody. Te dziury w ścianach pochodziły podobno od kul z karabinu z czasów takiej wojny, która była dawno, dawno temu, tak dawno, że tylko prababcia ją pamięta, chociaż nawet ona była jeszcze wtedy dziewczynką. Rodzice Krysi przyjaźnili się ze wszystkimi w kamienicy. Sąsiedzi pożyczali sobie nawzajem mąkę albo cukier, a kiedy ktoś był chory, robili mu zakupy. Krysia też lubiła sąsiadów. I kamienicę. I podwórko. Tym bardziej dziwiło ją, że prababcia, która dla niej była bardzo miła, kochana i dobra, z sąsiadami rozmawiała niechętnie. A czasami, siedząc na ławce na podwórku, miała taki dziwny, nieobecny wzrok.

Jednak ze wszystkich mieszkańców kamienicy najlepszy, najukochańszy i najwspanialszy był Spacer. Spacer był piękny, czarny jak węgiel, miał lśniąca gładką sierść, klapnięte uszy i był bardzo mądry, najmądrzejszy! Krysia często z nim rozmawiała i twierdziła, że gdyby był człowiekiem, na pewno zostałby profesorem filozofii na uniwersytecie. No, ale na szczęście był psem. Jej psem. Kiedy ktoś był smutny, Spacer przychodził i kładł mu głowę na kolanach. Rodzicom przynosił kaptcie. Grywał też ze Staszkiem w piłkę – Staszek kopał, a Spacer przynosił ją z powrotem. Miał swoje legowisko w rogu pokoju Krysi, a kiedy zasypiała wieczorem, kładł pysk na łapach i patrzył na nią, jakby mówił: „Śpij spokojnie, ja tu jestem”. Może dlatego był taki mądry, że był stary. Nie taki stary jak prababcia, ale dużo starszy od Krysi.



Od dwóch miesięcy miejsce Spacera było puste. Pewnego dnia, kiedy Krysia wróciła ze szkoły, psa po prostu nie było. Ani jego misek, ani legowiska – niczego nie było! Zupełnie jakby nigdy nie istniał! Mama przytuliła ją mocno i powiedziała, że Spacer poszedł tam, gdzie w końcu idą wszystkie psy, i że na pewno teraz świetnie się bawi. To jednak żadne pocieszenie. I teraz, kiedy Krysia zasypiała, w miejscu, gdzie było zawsze legowisko Spacera, widziała wielką czarną dziurę. Ta dziura była okropna! Zupełnie jakby ten kawałek pokoju znikł, jakby coś go pożarło, pochłonęło. Rodzice zaproponowali, że wezmą innego psa, ale Krysia nie chciała. Chciała Spacera i tylko jego. Koniec i kropka!



W dodatku od kiedy Spacer zniknął, Krysia zaczęła czuć się, delikatnie mówiąc, dziwnie.

Bo ta czarna dziura w rogu jej pokoju nie była jedyną, jaką widziała. Najpierw któregoś dnia po wejściu do salonu zobaczyła podobną dziurę na środku fotela. To był taki fotel z wysokim oparciem i drewnianymi podłokietnikami, szeroki i niski, który stał tam od zawsze. I –

Krysia nagle to sobie uświadomiła – na którym nikt nigdy nie siadał! To nie miało sensu, po co komu fotel, jeśli nie do siedzenia?! A dziura była na samiuśkim jego środku, jakby ktoś rozlał ciemność na siedzenie. Wydawała się oddychać, falować... Potem zobaczyła kolejną – i to w Staszku! W tym miejscu, gdzie człowiek ma serce. A potem już widziała je wszędzie wokół. Były na wejściach do mieszkań sąsiadów, na schodach prowadzących do piwnicy i w nowej części budynku, były w szkole, na ulicach i w ludziach. Krysi zdawało się, że się mnożą. Kiedyś nawet opowiedziała o nich przy obiedzie, ale mama wtedy



spojrzała na nią i powiedziała szybko:

– Oj, Krysiu, ty i twoja bujna wyobraźnia!

– Uważaj, żeby cię te dziury nie połknęły! – zaśmiał się tata i wyciągnął rękę, żeby zwichrzyć jej włosy, ale fuknęła gniewnie i uchyliła się.

– Jak widzisz coś takiego – dodała babcia – to lepiej nie patrz i udawaj, że tego nie ma. Wiem, co mówię, tak jest łatwiej. W ogóle o tym nie myśl! – i podreptała do kuchni zaparzyć herbatki.

A Staszek, zapytany o swoją dziurę, powiedział Krysi, że jest stuknięta, że nie ma w nim żadnej dziury, chyba że w spodniach na kolanie.

Ale dziury były. Były wszędzie, a ciemność się w nich poruszała jakby była żywa i Krysia naprawdę się zastanawiała, czy mogą połknąć ją i wszystkich, i wszystko. W końcu nie miała ochoty już z nikim rozmawiać, na nikogo patrzeć, dlatego dzisiaj wdrapała się na gruszę i przesiedziała tam całe popołudnie. Kiedy jednak zaszło słońce, trzeba było wrócić do domu. Krysia bez apetytu zjadła kolację i położyła się do łóżka. Ciemny kąć w jej pokoju wydawał się jeszcze ciemniejszy. Trochę się go bała, a jednocześnie to był przecież kąć Spacera! Patrzyła na niego i patrzyła, aż wreszcie – sama nie wiedząc, dlaczego – wstała i powolutku podeszła do miejsca, które było takie ciemne i gęste. Przykucnęła, ostrożnie wyciągnęła rękę i zanurzyła ją w mroku. Nic się nie stało.



Ciemność była miękka jak najmiększa wełna. Zanurzyła w niej drugą dłoń, przymknęła oczy i zaczęła ją głaskać, tak jak głaskała zawsze psa. Poczuła leciutkie mrowienie i ciepło – to było nawet przyjemne! W końcu usiadła tam, gdzie zwykle leżał pies, i zaczęła cichutko mówić:

– Wiesz, Spacer, teraz to z nikim nie można normalnie porozmawiać. Wszyscy mówią tylko „nie martw się”, „nie smuć się”, „będzie dobrze”... Albo śmieją się ze mnie i udają, że nie wiedzą, o co mi chodzi. Uważają, że zmyślam. A ja przecież wiem, co widzę. Od kiedy cię nie ma, wszędzie widzę te dziury. Nie mam pojęcia, co to jest. To jest tak jakby... no nie wiem... pustka. Pustość. Jakby nie było kawałka świata. I trochę mi smutno, jak na nie patrzę, i boję się, a trochę bym chciała zajrzeć do środka... Ech, Spacer, strasznie, przeokropnie za tobą tęsknię, ty byś wiedział, że mówię prawdę.

A wtedy ciemność wokół niej leciutko zafalowała raz i drugi. Wyfrunęła z niej iskierka, która przed samym nosem Krysi rozprysnęła się na milion innych iskierek. Powietrze wokół niej zaczęło delikatnie świecić i migotać, a potem to migotanie gęstniało i powoli zaczął się z niego wyłaniać znajomy kształt... Spacer!!! Stał przed nią z tymi swoimi kłapniętymi uszami, a każdy jego włoszek świecił własnym światłem.

– Spacer, to ty?!

– To ja – głos psa brzmiał w jej głowie i Krysi wcale nie zdawało się dziwne, że go słyszy. W końcu zawsze

ze sobą rozmawiali. – Dotknęłaś mojego miejsca, więc przyszedłem. Chodź, coś ci pokażę! – Spacer zachęcająco zamierdał ogonem, sypiąc iskrami po całym pokoju.

– Gdzie mam iść? – spytała Krysia.

– Tam – wskazał nosem ciemność za jej plecami.

Krysia niepewnie pokręciła głową:

– Tam? Ojej... A jak mnie połknie?

– Nie połknie. Tylko musisz jej dotknąć, delikatnie pogłaskać ją tak, jak przed chwilą. A potem złap mnie za ogon.





Kryścia, drżąc z przejęcia, najdelikatniej jak umiała pogłaskała ciemność i poczuła, że z każdą chwilą robi jej się cieplej i spokojniej w środku. Dziura zaiskrzyła, a dziewczynka wstała, chwyciła psa za złocisty od światła ogon i oboje weszli w mrok.

Wędrowali (albo raczej przemieszczali się z prędkością światła) przedziwnie połączoną siecią tuneli. To było tak, jakby wszystkie dziury świata były ze sobą połączone i z każdej można było przejść do innej – szybko, właściwie tylko myśląc o tym, do której się zmierza. Wokół Kryścia widziała tysiące miejsc, ale wszystko to trwało zaledwie ułamek sekundy i nagle znaleźli się... No właśnie, gdzie?

W pierwszej chwili niczego nie widziała. A potem zorientowała się, że są w jakimś mieszkaniu w zupełnie innym mieście, w innym domu! Wiedziała też, nie wiadomo skąd, że to poprzednie mieszkanie Staszka. Zobaczyła jego tatę oglądającego mecz w telewizji. I Staszka – małego, zupełnie małego, leżącego w łóżeczku. Przy nim siedziała jakaś kobieta i laskotała go w stópki.

- Kto to? – spytała Kryścia.
- To mama Staszka – odparł Spacer.
- Ale przecież Staszek ma tylko tatę i ciocię!
- No właśnie... Pomyśl. A dlaczego tak często się złości?
- Yyy... No bo jest chłopakiem! I ma wredny charakter!
- Naprawdę tak myślisz? – Spacer popatrzył

na Kryśię spokojnymi czarnymi oczami, a ona nagle zrozumiała, czym jest dziura w sercu kolegi z podwórka, i aż zaniemówiła na chwilę.

– No ale czemu on nigdy o tej mamie nie mówi? – odezwała się cicho, kiedy już wypuściła powietrze i odzyskała głos.

– Bo mu jej brakuje. Te dziury to właśnie taki brak. To jest takie „było, a nie ma”. I kiedy brakuje czegoś lub kogoś, kogo się kochało, to człowiek tęskni. A jak tęskni, to bywa mu bardzo smutno. A ludzie nie chcą smutku. Uważają, że smutek nie jest ładny. Więc lepiej udawać, że go nie ma.

– Strasznie to głupie! – mruknęła Kryścia.

– Tak? A ty przecież też nie chciałaś podejść tam, gdzie było moje miejsce... – Spacer uśmiechnął się i puścił do dziewczynki oko. – No a czemu?

– Bo było mi smutno, kiedy tylko tam patrzyłam. I chciało mi się płakać. A jak płaczę, to się czuję niemądra i mama się martwi, i wszyscy mnie pocieszają, chociaż wcale nie mam na to ochoty.

– A widzisz... Właśnie dlatego ludzie często nie lubią płakać. Wydaje im się, że to niemądre, niepotrzebne i się wstydzą. Zapominają, że istnieje dobry płacz, potrzebny, który przynosi ulgę, jak deszcz latem, po którym ziemia pachnie, a słońce świeci jaśniej. Kiedy ktoś płacze, czują się niezręcznie, nie wiedzą, jak się zachować, mówią te wszystkie głupoty w stylu: „no już, no uspokój się, będzie



dobrze”... Psy, moja droga, są mądrzejsze; jak się smucą, to się smucą i już, wyją wtedy i w ogóle się nie przejmują oraz, co uważam za istotne, nikogo nie pocieszają, tylko siadają obok i liżą człowieka po rękę, no ale ludzie...

– Oj dobra, Spacer, już wystarczy! Już zrozumiałam, dawaj ogon, idziemy dalej!

Zanurkowali w ciemność i znów znaleźli się w domu Krysi, a potem – zupełnie normalnie, drzwiami – wyszli na klatkę schodową. Kiedy przystawali przed którąś z dziur w kamienicy, Krysią głaskała ją ostrożnie, a wtedy ciemność zaczynała iskrzyć, otwierała się i w jakiś cudowny sposób przenikali do mieszkań sąsiadów. W tych mieszkaniach byli jednak zupełnie inni, nieznanymi ludźmi! Niektórzy mówili po polsku, inni zaś w niezrozumiałym dla Krysi języku.

– Kim oni są? – szepnęła, mocniej chwytając Spacera za ogon.

– To ludzie, którzy tu kiedyś mieszkali. O, spójrz! Tamta dziewczynka z ciemnymi warkoczami to Sara Rozenfeld, najlepsza przyjaciółka twojej prababci. Były nierozłączne! To ona nauczyła twoją prababcię robić latkesy i hamantasze. Miała pięciu braci, była bardzo bystra, uczyła się francuskiego, świetnie wspinała się na drzewa i rozumiała psi język. Chciała zostać cyrkowcem, potem jednak zdecydowała, że bardziej interesuje ją medycyna, no i...

– A co się z nią stało, z tą Sarą? – wpadła mu w słowo



Krysią. – Była już stara?

– Nie, kiedy Sara i twoja prababcia były jeszcze dziewczynkami, jej rodzina musiała pewnego dnia uciekać. Była wojna i groziło im wielkie niebezpieczeństwo.

– Udało im się?

– Niektórym tak. Najpierw ukrywali się w piwnicy, a potem w innych miejscach. Ale nawet ci, którym się udało, już nigdy tu nie wrócili. Sara też nie. I prababcia nadal bardzo za nią tęskni.

– Czy to dlatego tak rzadko rozmawia z sąsiadami? – spytała Krysią.

– Eeee, nie, ona po prostu mało mówi. Sara też mało mówiła. Razem milczało im się najlepiej, a teraz... no cóż, twoja prababcia milczy sama.

Wyszli na dwór i weszli w tę dziurę, która ziała w ścianie nowej części kamienicy. Znaleźli się na klatce schodowej, bardzo podobnej do tej, w której mieszkała Krysia, ale ładniejszej, czystszej i pomalowanej na biało. Tam też w mieszkaniach – dużych i jasnych – byli nieznani ludzie. Mężczyzna z brodą czytał gazetę, młoda kobieta wieszała pranie na balkonie, nucąc pod nosem melodię, którą ktoś w mieszkaniu obok grał na pianinie, jakieś dziecko bujało się na drewnianym koniku na biegunach, wokół pachniało mydlinami, świeżym chlebem i rosołem, aż Krysi zaburczało w brzuchu. Ale potem nagle obraz zadygotał i zmienił się: teraz ludzie byli na podwórku, a tej części domu w ogóle nie było, została tylko wielka kupa gruzów.

– To... – zająknęła się Krysia.

– Bomba – powiedział Spacer krótko. – Tak. Na szczęście zdążyli się schować. Ale dom trzeba było odbudować. Dlatego teraz wygląda jak młodsza siostra waszej części budynku.

Przez bramę wyszli na ulicę. Ulica była i jednocześnie zupełnie nie była tą ulicą, którą Krysia znała. Niby wszystko było takie samo, ale jednak zdawało jej się, że i asfalt, i ściany budynków, i witryny sklepów drżą lekko, migoczą, jakby były odbiciem w wodzie. I wszędzie, ale to wszędzie

były czarne dziury. Tylko że Krysi już nie wydawały się niepokojące; wiedziała, że są miękkie i koniecznie chciała zobaczyć, co w nich jest. Wchodzili więc do cukierni i zakładów fryzjerskich, do sklepów pełnych gwoździ i innego żelastwa, do składów, w których bele pięknych materiałów leżały poukładane od podłogi po sufit. Zagłądali w bramy, w których stały drewniane wozy, a na tych wozach beczki z wodą. A w jednym maleńkim sklepiku pomarszczony sprzedawca z długą siwą brodą dał im po prawdziwym, ręcznie robionym karmelku! Przez dziurę w asfalcie na rogu ulicy trafili do kawiarni, w której grała orkiestra i tańczyli ludzie. Krysia i Spacer zamówili sobie po słodkim ciastku z kremem i szklance wody sodowej (czyli gazowanej), bo bardzo zgłodnieli. Patrzyli na tańczących, aż im również zachciało się tańczyć. Zatańczyli więc – dziewczynka w piżamie i złocisty pies. Ale w końcu Krysia poczuła znużenie. Tyle było tego wszystkiego dookoła, ludzi, obrazów, nieznanych światów...

– Spacer, wracajmy już, co? – powiedziała Krysia. Wyszli więc z kawiarni i wrócili do domu, nic nie mówiąc, każde zanurzone we własnych myślach. Krysia pomyślała, że wcale się nie dziwi prababci, która lubi milczeć, milczenie było bardzo przyjemne. A kiedy znaleźli się w salonie, Spacer trącił Krysię nosem.

– Jeszcze tylko to – powiedział i pyskiem wskazał na fotel, ten, na którym nikt nie siadał. – Wskakuj, usiądź



sobie! No, śmiało! – Krysia niepewnie wdrapała się na fotel, oparła głowę o zagłówek, ręce położyła na oparciach i zamknęła oczy. Nagle zobaczyła młodego, wesołego mężczyznę. Dziadka, którego nigdy nie poznała! Babcia, też młoda, siedziała obok z małym dzieckiem na kolanach, a Krysia zrozumiała, że tym dzieckiem była jej mama!

Dziadek recytował im jakiś dziwaczny wierszyk, a babcia i mama się śmiały.

– Widzisz? – zapytał Spacer. – To jest najszczęśliwsze wspomnienie twojej babci i twojej mamy. Niedługo potem twój dziadek zachorował i zostały same, we dwie.

– Skoro tak, to czemu nikt nigdy nie siada na tym fotelu? A, no tak, przecież wiem. Bo im smutno. Ale fajny ten dziadek! Czekaj, co on mówi?

Dalekie są kraje i bliskie są kraje,  
gdzie Dżamble pędzą życie;  
Zielone głowy mają, niebieskie ręce mają  
I po morzu pływają w sienie.

Dziadek mówił, gestykulując zamasyście i śmiesznie przewracając oczami, a jej mała mama patrzyła na niego z rozdziawioną buzią.

Krysia długo słuchała, aż poczuła, że kleją jej się oczy, więc zeskoczyła z fotela i powędrowała do łóżka. Nie musiała już trzymać psa za ogon. Szedł za nią, a za nim, tam, gdzie nikł jego blask, pojawiał się dom – ten zwykły, znany i codzienny.

– Wiesz co, Spacer, jednego tylko jeszcze nie rozumiem. Dlaczego w tych czarnych dziurach w ogóle nie jest czarno, tylko bardzo normalnie i pięknie? – zamruczała Krysia, otulona kołdrą po same uszy.

– Bo one wydają się czarne tylko z zewnątrz. Tylko

kiedy nie chcemy na nie patrzeć. Kiedy patrzymy na nie przez smutek. A tam w środku jest... co jest. Co było. I co nadal jest żywe – jeżeli tylko tego dotkniemy, posłuchamy, przypomnimy sobie. Czasem bywa nam trudno, czasem nie mamy ochoty albo siły sobie przypominać – jak Staszek, jak twoja babcia i prababcia. To normalne. Ale jeśli zechcemy, jeśli uda nam się tę dziurę pogłaskać – wszystko jest. Inne, gdzie indziej, ale jest. Wiesz, twój dom i to miasto, a też i wszystkie inne miasta i cały świat, i my w nim, wszystko jest jak ser szwajcarski – pełne dziur. Coś było i tego już nie ma, a pojawia się coś nowego. Tak jak u ciebie w pokoju nie ma mnie, jak w mieszkaniu Sary mieszkają inni, bardzo mili ludzie. Jak w dziupli w drzewie zbiera się woda i piją ją zwierzęta, jak w dziurze w ścianie ptak wije gniazdo, tak w dziurze w świecie rośnie opowieść. Tak, moja droga, świat jest jak szwajcarski ser...

– A zobaczymy się jeszcze? – wymamrotała Krysia sennym głosem.

– Tego to nawet ja nie wiem. Ale sprawdźmy – powiedział Spacer z szelmowskim uśmiechem i znikł w dziurze.

Ale Krysia już tego nie widziała. Zasnęła. Kiedy obudziła się wcześniej rano, dziura w rogu jej pokoju nadal była, Spacera złotego od światła nie widziała, ale wiedziała, że on tam jest. Tego dnia miała bardzo pracowity poranek. Narysowała portret Sary Rozenfeld, a na odwrocie

napisała: „Kochana Prababciu, naucz mnie robić hamantasze, obiecuję nie gadać za dużo!”. Na podwórku nazbierała całą kupę kamieni i wsunęła Staszewi pod drzwi karteczkę: „Gdybyś chciał porzucać kamieniami, to masz zapas! Tylko nie w koty i nie w okna! I zawołaj mnie też!”. A kiedy się obudziła babcia, Krysia wzięła ją za rękę i zaprowadziła do salonu. Pogłaskała babcię po rękę i poprosiła:

– Babciu, opowiedz mi o Dzamblach, wiesz, tych co mają niebieskie ręce...

A wtedy babcia wzięła głęboki wdech, posadziła Krysę na fotelu i zaczęła mówić, śmiesznie przewracając oczami.



## SŁOWNICZEK

Dziury, których w świecie i w tej opowieści jest mnóstwo, prowadzą do tego, co działo się kiedyś dawno. Mogliście zatem napotkać tu słowa wam nieznane. Wyjaśnię, co oznaczają, żeby łatwiej było wam zrozumieć.

**DŹAMBLE** – postacie z wiersza Edwarda Leara „O żeglarzach Dżamblach” (w tłumaczeniu Andrzeja Nowickiego) opowiadającego o dziwnych żeglarzach, którzy sitem wypłynęli na wielkie morze. Zabawny wierszyk, w którym wszystko jest na opak. Był dawniej bardzo znany i lubiany, mój dziadek recytował go swoim dzieciom, kiedy były małe.



**HAMANTASZE** – czyli „uszy Hamana”.

To trójkątne ciasteczka, które piecze się na święto Purim (również bardzo piękne i ciekawe święto), nadziewane makiem z bakaliami (choć współcześnie nadziewa się je również konfiturami, a nawet masłem orzechowym i czekoladą). Nazwa tych ciasteczek nawiązuje do niesamowitej historii Estery, Żydówki, która przekonała króla perskiego, by oszczędził jej lud. A konkretnie do czarnego charakteru tej opowieści: Hamana, pierwszego doradcy króla, który knuł i spiskował, ale ostatecznie przegrał.

**LATKES** – szczególnego rodzaju placki ziemniaczane, które w tradycji żydowskiej przygotowuje się na święto Chanuki (to bardzo piękne i radosne święto, koniecznie poczytajcie sobie o nim). Ziemniaki trze się na grubej tarce, dodaje jajko, mąkę i na dużej ilości oleju smaży na złoty kolor. Pychota! Zwłaszcza ze śmietaną albo musem jabłkowym.

**ROSOCHATA** – to stare polskie słowo, które bardzo lubię. Oznacza taki rodzaj drzewa, które jest stare, trochę powykrzywiane, ma szorstką, popękaną korę i gałęzie rosnące we wszystkie strony.

**TRZEPAK** – pewnie wiecie, co to jest. Ale czy wiecie, do czego kiedyś służył (poza trzepaniem dywanów w czasach, kiedy nie było odkurzaczy)? Trzepak był dla dzieci miejscem spotkań i zabaw, godzinami na nim przesiadywały, robiły fikołki, zwisały głową w dół i rozmawiały o wszystkich ważnych rzeczach. Zresztą rodzice na pewno wam opowiedzą mnóstwo własnych przygód z trzepaka.



**ŻOLIN**

**Muzeum  
Historii  
Żydów  
Polskich**



**19 IV 1943**  
POWSTANIE  
W GETCIE  
WARSZAWSKIM



Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

**Iceland**  
**Liechtenstein**  
**Norway grants**

**Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego**

**ŻOLIN**

**Żydowskie  
Dziedzictwo  
Kulturowe**

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej